

Kosztowa

Jakiś czas później, wieczór

Kuźnia była pode wsią, kawałek drogi od gościńca. Z daleka między łanami pszenicy poprzerał ostami i kąkołem, mokrą od wieczornej rosy, widzieli pełgający czerwony ogień – odbłask dalekiego paleniska, czerwieniący od wieczornej zorzy. Kiedy na chwilę przystanęli, doszedł do nich niosący się daleko po łąkach i polach dźwięk kowalskiego młota.

– Są – rzekł Nieborski, który wzrok miał jak sokół, a słuch jak nietoperz. – Widzę jakiś wóz pod karczmą. Stary wasąg i starzy znajomi.

– Brać pistolety! – zakomenderował Dydyński. – Panie Nieborski, przekłułeś zapał? – Zerknął na skałkowy pistolet pocztowego. – Bo albo słaby proch masz, albo dziurkę wąską, jak u wiecznej dziewicy, przy panewce tego dziwadła.

– Przechędożyłem szpilą!

– Ruszamy!

Pomknęli przez pola, rozdzielili się na dwie części, a potem wpadli na plac przed budowlą niczym tatarski zagon. Stolnikowic i Świrski od strony polnej dróżki, Nieborski i Borek od zagonów, zmuszając konie do skoku nad żerdziami i chruścianym płotem.

Zakotłowało się na podwórzu; w tętent kopyt wdarło się rżenie wierzchowców, krzyk ludzi, gdakanie spłoszonych kur. Trzeba przyznać, że widząc nadciągających zbrojnych, rzekli

słudzy Bolestraszyckich nie wpadli w panikę. Skoczyli do wozu, zbili się w grupę najeżoną ostrzami szabel, popatrując spode łbów na konnych mierzących do nich z pistoletów.

– Napad? – zapytał ochryple dowódca. – Nieboszczyka chcecie ograbić?! On już swoje wycierpiał!

Dydyński podjechał bliżej, stanął o krok z szablą dobytą z pochwy.

– Dziwny to nieboszczyk, co złotem brząka po śmierci. A jeszcze dziwniejszy syn ojca, który się samych córek dochował. Piękną piosnkę zaśpiewaliście pod Bachorzkiem, prawie w nią uwierzyłem. Szkoda, że rymy ubogie, a w koligacjach błędziliście jak pijanica w borze. Zabiliście i ograbiliście Wojcieszka Jaksmanickiego, mego sąsiada i kompana! Chcieliście ciała zgubić, ale koń wam uciekł, a potem do pana wrócił. Dość już gadaniny! Kładę na was areszt, jako schwytanych in recenti⁵ na mężobójstwie!

– Jakie ciała? Jakie mężobójstwo? – Zarośnięty strzyknął śliną w piach, taktownie odwracając głowę. – Nas, mośpanie, nie obchodzą żadne koligacje ani jakieś tam perturbacje. Wynajął nas pan Bolestraszycki, abyśmy przywieźli ciało nieboszczyka z Wenecji, a nie dla załatwiania prywatnych porachunków. Schowajcie broń, bo nie chcemy żadnej zwady ani nikogo nie zabiliśmy. Gdzie są dowody? Gdzie protestacja wniesiona przez rodziny zabitych?

– Dowody są w trumnie. Pokażcie, co tam macie!

– Chcesz waszmość upewnić się, że naprawdę wieziemy nieboszczyka?

– Chcę się przekonać, że rana zadana waściny rapierem, którą widziałem na piersi Wojcieszka, to tylko sen.

– Moim rapierem? – Czarny wzrok zarośniętego był nieodgadniony, ale postać tchnęła spokojem. – Alboż to ja tylko jeden na ziemi ruskiej rapier noszę?

– Jeśli się myślę, przepraszę waszmości za podejrzenie.

5 łac. – na gorącym uczynku

– Dobrze. Ja tylko apeluję o rozważę. Nie chcemy żadnej zwady, prawda, mości panowie?

– Otwierajcie!

Zarośnięty uniósł w górę otwarte dłonie, jakby pokazując wszem wobec, że jedyną bronią, którą szermuje, jest prawda. Wskoczył na wasąg, aż wóz, który stał bez jednego koła i wciąż nie był naprawiony, zakołysał się. Chwycił za róg płóciennej płachty zakrywającej wnętrze, odrzucił ją, odsłaniając podłużny kształt okryty wypłowiałym aksamitem.

I wtedy rozpętała się burza.

Dydyński nagle zmrużył oczy i ścisnął mocniej rękojeść szabli. Przytrzymał uzdę i w jednej chwili obrócił konia wokół przedniej prawej nogi, dał ostróg, aż Hetmanka skoczyła, a raczej pofrunęła do przodu, jakby przyprowadzono jej skrzydła. Już wcześniej przeczuł, co się święci. Kątem oka wychwytał ruch ręki krępego brodacza w futrzanej czapie i porwanej huni. Widział, jak tamten wrywa z zanadrua pistolet, zawadza kurkiem o lewą połę opończy, szarpie się z opornym materiałem, podnosi broń do strzału...

Nie zdążył pociągnąć za spust! Koń wpadł na niego z impetem, a jeździec chlasnął szablą z góry, na odlew – po rękę, nieco powyżej łokcia. Brodacz ryknął, cisnął broń w piasek, zręcznie umknął spod kopyt klaczy. Mając za sobą jeźdźca na koniu, nie wdawał się w przepychanki – śmignął jak zając prosto pod wasąg, wygramolił się po drugiej stronie, już z szablą w rękę.

Dwa suche odgłosy wystrzałów zabrzmiały niemal jednocześnie. Świrski wypalił z półhaka do grubawego Niżowca. Impet wystrzału obalił Kozaka wstecz, na burtę wozu; ranny chciał jeszcze chwycić się jej lewą ręką – nie zdołał, osunął się na bok, szorując głową po łożowej pleciance i zostawiając na niej wąski ślad krwi.

Borek wygarnął z bandoletu do drugiego mołojca. Trafił w lewy bark, aż impet kuli szarpnął przeciwnika w tył. Starszy sługa odrzucił za plecy broń uczipioną do bandoliera, porwał za szablę, by dobić rannego. Nieborski miał mniej szczęścia.

Ostatni z grasantów skoczył nań z chłopskimi, drewnianymi widłami w rękę, szarżował od strony wozu w desperackiej furii, zapewne chcąc przebić się poza krąg pocztowych bigosujących jego kompanów aż wióry leciały.

Nieborski porwał za pistolet, strzelił w lewo, przekładając rękę przez przedni łęk kulbaki. Kurek z krzemieniem spadł na panewkę, skrzesał iskry, zapalił proch i... wystrzał nie padł.

Hajduk krzyknął w furii, wbił widły w bok jeźdźca, przytrzymał. Nieborski był bez zbroi, w samym przeszywanym żupanie; zawył z bólu, jego koń szarpnął się, postąpił w bok. Pocztowy chciał porwać za szablę, ale wróg miał go jak na widelcu: drewniane zęby przeszyły ciało szlachcica, przechodząc między jelcem a kabłąkiem i przyszpilając rękojeść zygmuntołki do ciała!

Przeciwnik popchnął z całej siły, zwałił jeźdźca z kulbaki. Cisnął widły i skoczył w stronę uchodzącego podjezdka, chcąc pewnie na jego grzbiecie wydostać się z matni. Świrski wyrósł na jego drodze jak spod ziemi, ciął szablą raz, drugi, trzeci...

Szlachcic na wozie nie przyszedł z pomocą kompanom. Pochwycił lejce w lewą rękę, a prawą dobył wąskiego graniastego rapiera. Nie bawił się w popędzanie woźników – po prostu chlasnął ostrzem po zadzie lewego dyszlowego. Koń zakwiczął, rzucił się w przód, pociągając za sobą prawego kompana, poniosł na drózkę wiodącą w stronę gościńca.

Dydyński pomknął za wozem, pozostawiając pocztowym rozprawienie się z resztą swawolników. Wasąg popędził z turkotem, przechylony na prawą stronę. Zawadził osiá o drewnianą barierkę ogrodzenia kuźni, oderwał ją z trzaskiem od pionowych bali, powlókł za sobą...

Stolnikowic zrównał się z wozem, ciął z prawej, w pierś, poprawił wbrew – z góry, z zamachu. Przeciwnik zasłonił się, chlasnął płasko, ale ostrze przeszło tylko puste powietrze.

– Naści! Za Wojcieszka! – zakrzyknął Dydyński, podjeżdżając do samej burty wasągu. Ciął z góry, w całym pędzie – zarośnięty ledwie dał radę zasłonić się ostrzem; nie mógł trzymać

lejców i jednocześnie walczyć, skulił się więc za burtą, zasłonił rapierem z góry, byle tylko przetrwać furję konnego przeciwnika.

Nie uszedł daleko.

Rozpędzony, pozbawiony tylnego koła wóz wpadł w pędzie w płytkie trzęsawisko, w miejscu, gdzie mały strumyk przedierał się leniwie przez łąny bujnie rozrośniętej pszenicy. Wasąg, zahaczając prawą tylną osią o kamienie, pochylił się na lewo, a potem wywrócił. Dyszel pękł w jednej chwili, woźniki pociągnęły go za sobą, żłobiąc tylnym końcem szeroką bruzdę w wyjeżdżonym trakcie.

Trumna spadła na bok, wprost na wysoką miedzę, przetoczyła się z łoskotem i znieruchomiała, wplątana w żyto i wysokie trawy.

Dydyński podjechał tam, gdzie spod przewróconego wasągu wypełził tyłem zarośnięty szlachcic, zabłocony i umorusany jak swawolna dziewczka wywieziona ze wsi na wozie pełnym gnoju. Na wpeł siedząc, odpychał się w tył i włókł za sobą bezwładną, pewnie przetrąconą nogę. Nagi rapier trzymał w prawym ręku, a jego oblicze wykrzywiał grymas bólu.

– Stój! – krzyknął donośnie stolnikowic. – Rzuć broń i zdasz się po dobroci!

Kędzierzawy cofał się, żłobiąc własnym siedzeniem głęboki rów w wyschniętym błocie. Hetmanka parsknęła cicho, wyrwała do przodu, wstrzymywana na munsztuku.

– Rzuć broń, a gardło będziesz miał całe!

Zarośnięty szlachetka jęknął. Splunął w stronę pana Jacka.

– Chodź tu, psi synu! – wycharczał. – Kończ ze mną! Oszczędź męki.

– Kat z tobą skończy! Rzuć rapier!

Powoli, nie spuszczając wzroku ze stolnikowica, czarniawy odłożył broń.

– Rzuć dalej! W pole!

– Nie mogę...

– Wyrzuc albo kopyta dodadzą ci skrzydeł!

Krzywiąc się z bólu i jęcząc, zabójca Wojcieszka spełnił polecenie. Odrzucił rapier o dobre dwie stopy od siebie.

– Teraz wstawaj!

– Nie wydolę, panie.

– Nie wydolisz, to zginiesz!

– Pomóżcie... Błagam, panie. Łaski!

Te słowa nie pasowały do człeka, którego miał przed sobą. Nikt o tak zwinnych ruchach i oczach zmienionych w wąskie szparki nie zdobyłby się na żałosne skomlenie o litość.

– Wyjmij kindżał z rękawa i odrzuć precz! Albo zobaczysz, jak chadza się z dziurą we łbie. – Dydyński porwał lewą ręką za rękojeść kołowego puffera.

Czarniawy skoczył. W jednej chwili zerwał się na nogi jak dziki zwierz. Lewą ręką cisnął w oblicze stolnikowica garść piachu, prawa w mgnieniu oka dobyła z rękawa żupana krótki sztylet.

Pan Jacek wrzasnął; strzelił osłepiony – niecelnie, wypuścił więc pistolet, zawrócił konia w miejscu, na zadzie, osłonił się lewą ręką, czując, jak ostrze chlasta go po przedramieniu, a stal brzęczy, natrafiwszy na grubą blachę karwasza.

A potem ciął szablą, zamachnął się odruchowo, zawadził końcem pióra o kołpak wroga, poprawił... Rozrąbał mu głowę, tnąc z boku, nad samym uchem.

Przeciwnik zwałił się jak rażony piorunem. Padł na twarz, leżał wśród stratowanej pszenicy pokryty krwią, dygoczący. Dydyński zeskoczył z konia. Zbliżył się wolno, trzymając w lewej ręce uzdę Hetmanki.

Ostrożnie trącił kędzierzawego końcem podkutego buta. W ferworze walki czapka spadła z głowy tamtego, odsłaniając posiwiąle, długie kosmyki włosów, a między nimi głęboką krwawą szramę po cięciu szablą.

Odwrócił go naznak i przeżegnał się, widząc pokryte bielmem oczy tamtego.

Za Wojcieszka. Za krwawą ranę na piersi dawnego kompana.

Nie miał tu już nic do roboty.

Zanim odszedł, zapobiegliwie obszukał nieboszczyka. Zabrał chudą sakiewkę, odnalazł na polu rapier i wyszarpnął kindżał z martwej ręki. Nawet po śmierci czarniawy nie puszczał broni, Dydyński musiał nieźle się namęczyć, aby wyciągnąć ją z zaciśniętych kurczowo palców.

Na szyi nieznanego wisiał prosty drewniany krzyżyk. Zbadawszy, że nie był ze złota, stolnikowic nie poświęcił mu zrazu zbyt wiele uwagi. Kiedy jednak zerknął raz jeszcze, zaciekawił się i podniósł w górę, na ile pozwalał rzemień.

Krzyż jak krzyż; zwykły, o zaokrąglonych krańcach ramion. Jednak zamiast oblicza Chrystusa w samym środku miał tarczkę, z której szczyrzył zęby... niedźwiedzi łeb.

A cóż to znowu za osobliwość?

Pierwszy raz widział coś takiego. Pobożny szlachcic pewnie uznałby to za znak heretyków albo dziwactwo, ale Dydyński nie lubił wycierać hajdawerów, klęcząc po kościelnych kruchtach. Zerwał zatem niedźwiedzi krzyżyk z szyi zabitego i schował do sakiewki jako osobliwość.

Podniósł puffera, wrócił do rozbitego wasągu i trumny – przekrzywionej, leżącej na boku w zbożu. Zerwał z niej atłasowe obszycie, pochwycił za róg i przewrócił na płasko. Zdało mu się, że z drewnianego pudła doszedł głuchy łoskot.

Szarpnął za wieko, ale było mocno przybite gwoździami. Minęła długa chwila, zanim zdołał podważyć je kindżałem. Do diabła, gdzie się podziała czeladź? Tak to już było, że pocztowi i rękodajni pierwsi byli do zajmowania miejsca przy pełnej misce, a ostatni do wspierania pana, gdy była ku temu potrzeba.

Wreszcie zrobił szczelinę, podważył ją rękojeścią i obłękami zdobycznego rapiera, potem zapał się i oderwał wieko, odrzucił na bok, na zdeptane, powalone kłosa.

We wnętrzu prostej czworobocznej trumny leżało monstrum.

Stolnikowic zdębiał. Przeżegnał się, choć po tym, co widział w Inflantach, nie należał do bojaźliwych ludzi. Wewnątrz pudła

spoczywało na plecach ciało człowieka, a jego ręce i nogi wykręcone były do tyłu – zapewne związane rzemieniami. Nieboszczyk nie miał głowy – z jego ramion wyrastał brunatny niedźwiedzi pysk z wyszczerzonymi zębami.

To ci dopiero historia. Znajduje na trakcie trupy swego dawnego kompana i jego sług, a w trumnie, w której spodziewał się znaleźć łupy zagrabione nieboszczykom... leży wilkołek albo wołoski brukołąk?

Jezus Maria! O co w tym wszystkim chodzi?

Czyżby historia z Januszem Bolestraszyckim była prawdziwa? A może... on był odmieńcem, człekiem przeklętym, zmieniającym się w księżycowe noce w wilkołaka?

Znał takie przypadki z własnych doświadczeń. Nie dalej wszak jak dwa lata temu w Niewistce kmieć Chwistek odmienił się po śmierci w upiora, bo wstał z mar i ruszył przez wieś na pohybel żywym. Dopiero kiedy obcięto mu łeb toporem, umarł po raz drugi i żywy więcej już nie podniósł się z grobu.

Nagle zamarł, bo skonstatował, że człowiek w trumnie jeszcze żyje. Najpierw spostrzegł unoszącą się pierś, potem – że nieznamy próbował poruszyć nogami. Wreszcie zauważył, że materiał żupana niknął pod niedźwiedzią sierścią. Wtedy zrozumiał, że tamten nie miał niedźwiedziego pyska, ale na głowę włożono mu maskę zrobioną ze skóry ściągniętej z łba zwierzęcia. Kiedy to stało się jasne, Dydyński przyklęknął, szarpnął nieszczęsnego za ramię, posadził, a potem zerwał z głowy futrzaną maskę.

Pod spodem ukazało się śniade, okrągłe oblicze młodziana lat około dwudziestu, no, może dwudziestu pięciu. Człek ów miał usta zatkane drewnianą gruszką, a szczękę owiniętą szmatami. Dydyński wyrwał knebel z ust nieznanomego. Więzien spojrział na niego półprzytomnym wzrokiem, zacharczał, rozkaszał się.

Młodzieniec nie wyglądał na ważną osobę. Nie był potężniejszy niż stolnikowic, a przecież Jacek nie należał do wielkoludów. Wzrostu był mniej niż średniego, ale barczysty; miał głębię okrągłą i śniadą, rysy zaś wielce pospolite. Nad szerokim

czołem sterczały, jak łan równego żyta, krótkie rude włosy. Na obliczu miał dwie okazałe brodawki – jedną pod nosem, a drugą, mniejszą, u prawego oka. Brody ani wąsów nie nosił.

Na chłopca nie wyglądał; gdyby nie strój, można by go wziąć za sługę albo syna kucharki. A jednak odziany był w dostatni karmazynowy żupan z falendyszu, co pozwalało sądzić, że pewnie służywał gdzieś na zamku – może u Fredrów albo u Stadnickich. Choć prawdę powiedziawszy, równie dobrze mógłby być zwykłym, może nieco bogatszym kramarzem z targowiska w Denowie czy Sanoku.

– Kto ty jesteś?

Nieznajomy wycharczał coś, czego szlachcic nie zrozumiał. A potem poruszył związanymi z tyłu rękoma.

– Rozetnijcie – wychrypiał. – Dłoni nie czuję.

Dydyński zawahał się, ale przeciął rzemienie. Młodzieniec jęknął, prostując ręce. Więzy głęboko wżarły się w ciało; po tak długim pobycie w trumnie rozprostowanie ramion musiało być co najmniej tak samo bolesne, jak podciąganie na linie u małodobrego mistrza.

Wstał, kiedy szlachcic uwolnił z więzów jego nogi, a potem jęknął z bólu, zatoczył się, aż Dydyński musiał ująć go pod ramię, czym – zdaje się – zadał nowy ból i torturę nieszczęśnikowi.

– Cóżes przeskrobał, że żywcem zamknęli cię w trumnie, w niedźwiedziej masce?

– Jestem Dymitr z rodu Ruryka, carewicz moskiewski – wycharczał nieznajomy. – Najjaśniejszy, przesławny i niezwyyczajony z Bożej miłości wielikij kniaź Dymitr Iwanowicz. Wsieja Rusi samodzierzca... Wołodomierski, moskiewski, nowogrodzki, car kazański, astrachański, gospodar pskowski. Tudzież innych mnogich ziem obładitiel<6>.

– Aha – rzekł Dydyński. – To taka z tobą sprawa. Chyba rozumiem, dlaczego cię w więzach trzymali. Choć myślę, że zamiast niedźwiedziej pasowałaby ci bardziej błazeńska maska.

– Nie chcecie, to nie wierzcie! – rzucił gniewnie młodzieniec. – Moim ojcem był Iwan Wasylewicz, car moskiewski, którego jestem jedynym prawdziwym następcą⁷. Wolno ci wątpić, bo widzisz mnie bez Czapki Monomacha i bez szat carskich, ale zaprawdę powiadam ci, mości panie, że przyjdą jeszcze czasy, iż będziesz bić mi pokłony.

– Nie do wiary – rzekł pan Jacek – kogo dzisiaj można spotkać na pagórkach sanockich. Bo jeśli ty jesteś carewicz, tedy mnie znają pod imieniem chana tatarskiego Ghazi Gereja, potomka gromowładnego Czyngisa, samowładcy jerozolimskiego, kołodzieja babilońskiego, świniarza Małego i Wielkiego Egiptu, a na dokładkę – chana wszystkich ord, od Krakowa do Kitaju.

– Wielce dziękuję waszej chańskiej mości za wybawienie z niewoli – odburknął młodzian. – A kiedy zasiądę w Granitowej Pałacie, bądź pewny, że nie omieszkać się odwdzięczyć.

Gdyby śmiech Dydyńskiego mógł zabijać, rudy pacholek byłby już na łonie Abrahama.

– Niechaj Wasza Carska Mość zaspokoi moją ciekawość – zawołał szlachcic – i wyjaśni, jakim to dziwnym sposobem podróżował nie w carskich saniach, a na chłopskim wozie, mając na głowie niedźwiedzi łeb zamiast Czapki Monomacha? I cóż w ogóle taka persona robi w ziemi przemyskiej, która wszak równie odległa jest od granic Moskwy, jak Sanok od końca świata?

– Zostałem porwany. Zapewne przez sługi mego wroga, nieprawego cara Borysa Godunowa. Gdzie my w ogóle jesteśmy? Co to za wioska?

– Kosztowa. Pół mili od Dubiecka.

– Napadli nas za miasteczkiem zwałym się... Dynów?

– Denów. To niedaleko.

– Moi ludzie! Wojciech Jaksmanicki, dwóch pacholeków... Widziałeś ich?

– Znalazłem ciała. – Dydyński skonstatował, że przynajmniej ta część opowieści nieznanego była prawdziwa. – Woj-

7 rus. – następcą

cieszek był moim kompanem ze szkolnych lat. Pomściłem go krwawo. Śmierć za śmierć.

Dymitr przeżegnał się szeroko, po prawosławnemu, to znaczy z prawa w lewo, a nie na odwrót.

– Chodźmy do mojej czeladzi – zakomenderował Dydyński. – Pewnie sprawili się z waściny porywaczami i czekają na nas.

Dosiadł Hetmanki, nie oferując jednak miejsca w kulbace Dymitrowi. Rzekomy carewicz, a prędzej czyjś służka – jak podejrzewał stolnikowic – łypnął na niego niechętnie, widać, że złość gotowała się w jego rudawym łbie, nic jednak nie powiedział.

Dydyński jechał i pogwizdywał.

– Łgarz z ciebie jak jezuita Skarga na królewskim kazaniu – rzekł wesoło. – Przyznaj się, jesteś pacholik albo sługa rękodajny, co? Od Stadnickich? Od Ligęzów?

– Może najpierw wy, panie szlachcic, powiecie, kim jesteście?

– Jacek Dydyński, herbu Gozdawa, do usług. Stolnikowic sanocki, towarzyszy rotę husarskiej mości imć Szczęsnego Nie-wiarowskiego.

– Zapamiętam was, panie towarzyszu.

– I ja was zachowam w pamięci, bo takowi franci rzadko w tych lasach się rodzą. Wstąp do mnie na służbę, młodzieńcze! Szablę będziesz za mną nosił i nad czeladzią miał dozór. A okażesz się wierny i pomocny, to na Święty Marcin dam ci co roku dwadzieścia dukatów i przyodziewek. A na sejmiku będziesz jechał przed czeladzią na wronym koniku, z niedźwiedziem chowanym na łańcuchu.

– Waść się zapominasz!

– Ma imć pan Fredro – ciągnął Dydyński – Murzyna w stroju polskim, czarnego jak sam diabeł, a pan Zamoyski koników siwych sześć przy karocy – choć powiadają, że jeden farbowany – będę i ja trzymał w Dydni carzyka moskiewskiego. A będziesz ucieszne facecje o Moskwie opowiadał, znaję

ci żonę robotną i pocziwą, a na starość w dożywocie zapiszę splacheć ziemi, albo i całą rolę, do tego zaś ze trzech kmieciów razem z rodzinami. Zgodzisz się?

– Waści słowa równie harde jako kark u roboczego wołu. A przecież gdy chłop go w jarzmo weźmie, i on zgiąć się musi, aby pług swój w pocie czoła ciągnąć. Bacz, by waszej głowy ku ziemi nie przygięto i by nie znalazł się kij sękaty i poganiacz nielitościwy.

– Cały już mój ród taki twardy i niepokorny – odparł wesoło Dydyński. – Nikomu się kłaniać nie będziemy, a rękę to mogę tylko Ojcu Świętemu i Jego Królewskiej Mości ucałować. Wolnym człowiekiem jestem i póki u mnie szabla ostra przy boku, wolności zażywać będę. A w to, żeś jest carzykiem moskiewskim, trudno mi uwierzyć. A może nawet i lepiej, że nie wierzę. Wszak rzekomy ojciec twój, car Iwan, zwany u nas Tchórzliwym, a w Moskwie Groźnym, wielkim był nieprzyjacielem Rzeczypospolitej. Inflanty nam zdobył, ludzi rzezał, a między nimi zabił mego stryja Michała Dydyńskiego w Połocku. Myślisz zatem, że my, Polacy, będziemy mieć wielką korzyść ze wspierania moskiewskiego carzyka? Nie lepiej staroście w Przemyślu cię oddać, jako kpa i szelmę? A potem w wieży osadzić in fundo⁸?

Dymitr milczał urażony.

– Mów lepiej prawdę. Bo podejrzewam, wzięli cię w pęta za amory i ars amandi na magnackim dworze. Twoje porwanie przypomina historię niejakiego Smólskiego, co był poteszytelem – jak na Litwie gadają – księżnej pani małżonki Radziwiłła, kasztelana wileńskiego. I którego porwano w podobny sposób, a po smacznym kąsku dano się napić aż za wiele wody. Przypomina mi się też przygoda, lecz wcale nie wojenna, mego druha, pana Samuela Maskiewicza, której doświadczył w Brahimiu, na dworze Aleksandry Wiśniowieckiej. Miał on tam ledwo w niebie lepiej... Do czasu, kiedy o jego amorach zwiedził się brat

8 łac. – na dnie

księżnej – Aleksander Chodkiewicz. Wtedy to narobiono mu piwa, że ledwie go zbył. Ale cóż – kto piwo warzy, to je potem wypić musi.

– Milcz, waść! – syknął zimno Dymitr. – Za mniejsze obelgi mój ojciec kazał wyrwać język bojarowi Atanazemu Buturlinowi. A za uchybienia w tytulaturze bił do krwi posochem. Na kolana przed naszym carskim majestatem! W milczeniu pokłony oddawaj!

– To ty się ucisz, pacholku – odparł zimno Dydyński. – Bo ja nie jestem żadnym moskiewskim niewolnikiem, ale szlachcicem! I nawet jasnemu księciu nie pozwolę tak krzyżeć na siebie! A nie posłuchasz mnie po dobroci, tedy przemówi do ciebie mój nahaj albo szabla!

– Ach, prawda, jesteś moim wybawcą. – Gniew ulotnił się z oblicza Dymitra tak niespodziewanie, jak gdyby nieznajomy zdjął jedną maskę, a założył drugą. Teraz mówił spokojnie, bez gniewu i wściekłości. – Winienem ci zdrowie, a kto wie, może życie. Dlatego za grzechy moje przyjmuję twe obelgi, mości panie. Chcesz mnie chłostać – chłoszcz biczem nienawiści i złym słowem, bo ja nikczemny robak, rab boży, chołopiszka czarny. Za grzechy moje i mego ojca to przyjmuję. – Rozerwał żupan na piersi, padł na kolana, przeżegnał się i niespodziewanie oddał pokłon Panu, bijąc o ziemię czołem. – Cariu Niebiesnyj, Utieszytielu, Dusze istiny, iże wiezdie syj i wsia ispołniajaj – wymamrotał cicho. – Sokrowiszczce błahich i żyzni Podatielu, priidi i wsielisia w ny, i oczисти ny ot wsiakija skwierny, i spasi, Błaże, duszy nasza<9>.

– Modlisz się? Bijesz pokłon Panu? – zdziwił się Dydyński. – Zdaje się, że naprawdę jesteś Moskalem, bo Polacy i Rusini – jeśli nawet prawosławnej wiary – przemawiają do Boga jak wolni ludzie do swego ojca, najwyżej na kolanach, a tylko wy oddajecie mu cześć jak niewolnicy! Wstańże z ziemi, człeczko, bo żal na ciebie spoglądać!

9 patrz przypisy końcowe

– Raduję się każdą raną, którą mi zadasz, zły, nikczemny człowieku. Cieszy mnie każdy mój ból i cierpienie, albowiem, jak mówił święty Izaak Syryjczyk, Jezus będzie nas sądził wedle miłości bliźniego. To moja skrucha i pokuta, a kiedy odpokutuję za grzechy, Spasiciel przywróci me dziedzictwo... – mamrotał Dymitr, wstając wolno z kolan. – Jam jurodiwy, głupi w Chrystusie, rab bożyj, wiem o tym dobrze od dnia, kiedy przejrzałem na oczy. On będzie nas chłostał za grzechy biczem miłości, lecz modłę się, człeku małej wiary, abys nie musiał się przekonać, jak bardzo twój żywot jest igraszką w Jego ręku. Oby Spasiciel nie wychłostał cię biczem za twój cierniowy język.

Przed kuźnię zjechało bodaj ze dwadzieścia koni kozaków albo czeladzi dworskiej, gdyż wszyscy zbrojni mieli przy sobie spisy i szable. Dymitr przyśpieszył kroku. Na jego cześć rozległy się krzyki, wiwaty; kozacy jak jeden mąż zeskoczyli z koni, poczęli padać na kolana, zdjawszy czapki i kapuzy. Niektórzy bili przed nim czołem, niczym przed ruskim świętym, a Dydyński bodaj pierwszy raz obserwował aż taką czołobitność u służby. Owszem, w Koronie i na Litwie czeladź zwykle kłaniała się w pas i całowała pana w rękę, czasem jakiś szlachcic gołota padał plackiem przed moźnym panem – zwłaszcza kiedy chciał oddać syna na służbę lub prosić o łaskę. Ale nikt nigdy nie walił czołem o posadzkę. Zwłaszcza pan Dydyński, który niechętnie skłaniał podgolony łeb nawet przed Ojcem Niebieskim. A pewnego razu po pijanemu we Lwowie, dobywszy szabli przed katedrą miejską, zawołał: *Jeśliś Bóg, bij się ze mną!* A kiedy ów nie stanął, chełpił się jeszcze przed kompanią, że nie starczyło wtedy fantazji królowi żydowskiemu.

W głębi duszy pana stolnikowica tkwiło przekonanie, iż szlachcic polski, jeśli tylko chce mówić do równego sobie, powinien mówić w kościele z samym Synem Bożym i Duchem Świętym.

Dymitr wyprostował się, widząc oznaki uwielbienia, szedł sztywny, jakby nagle przybyło mu ze trzy cale wzrostu. Zerknął nawet z ukosa na swego wybawcę, jakby spodziewając się, że szlachcic spuści z tonu, jednak temperament i usposobienie

pana Jacka były rogate i nieokiełznane jak u samego diabła. Stolnikowic więc bynajmniej z konia nie zsiadł ani nie oddał pokłonów. Podobnie zresztą jak jeden z nowo przybyłych, który pokłonił się Dymitrowi w kulbace, uchyliwszy czapki.

– Miłościwy carewiczu nasz! – zakrzyknął. – Jesteście zdrowi?

– Napadli nas za Denowem, ubili pana Jaksmanickiego i dwóch czeladników. A mnie wsadzili szmatę w gębę i położyli do trumny, abym udawał nieboszczyka.

– Chwała Bogu, że Wasza Carska Mość żyje!

– Uwolnił mnie ten szlachcic... Pan Dydyński. Który choć hardy w słowach i nieposkromiony w języku, przecie jednak uczynił lepszy użytek ze swojej szabli niż ze zjadliwej gęby.

– Ja tego Dydyńskiego znam – odparł jeździec. – Za dobrze. I za długo.

Stolnikowic westchnął. Teraz już był pewien, kim jest jego rozmówca. W mroku poznał od razu chrapliwy, zmęczony głos Adama Dworyckiego, z którym... Ech, szkoda było gadać.

Zacnie witała go rodzinna ziemia sanocka po powrocie z Inflant. Zaczęło się od grasantów na trakcie i martwego oblicza dawnego kompana. A teraz jeszcze Dworycki, z którym szlachcic miał rankor od czasu, gdy obaj służyli w Inflantach. Kto następny zastąpi mu drogę? Znienawidzony Jerzy Krasicki? A może sam diabeł i pani śmierć?

– Konia!

Jeden z kozaków posłusznie zeskoczył z kulbaki i oddał wodze Dymitrowi. Rzekomy carewicz zwinnie wskoczył na terlicę.

– Pragnę ci podziękować, mości panie Dydyński – rzekł władczym głosem. – I nawet pomimo twej niewyparzonej gęby ofiarować moją łaskę. Gdybyś chciał pomóc mi odzyskać tron, ofiarowałbym ci carskie zmiłowanie i przebaczenie...

Stolnikowic roześmiał się wesoło.

– Majętności w Moskwie, czyli gruszki na wierzbie – parsknął. – Albo asygnatę na skórę niedźwiedzia, co żywy po lesie chodzi. Tak samo ja mogę dać Waszej Carskiej Mości Niderlandy.

A na dokładkę Jedysan i Oczaków ze wszystkimi ordami. Jenó że wejść w jego progi będziesz musiał nie w towarzystwie Adama Dworyckiego i kilku nędznych semenów, ale w asyście dwudziestu tysięcy szlachty polskiej!

– Niechaj Wasza Carska Mość plunie na tego człowieka – ozwał się Dworycki. – Znam go nie od dziś i zgoła ze złej strony. Pan Dydyński należy do przeciwnej nam partii, do ludzi Zamoyckiego i Ostrogskich, którzy nie sprzyjają twym zamiarom.

– Nie należę do nikogo innego poza sobą samym! – zaoponował stolnikowic. – Wolno mi nie wierzyć w waszą sprawę, bo jestem szlachcicem, o czym waszmość chyba zapomniałeś!

– Jestem wdzięczny za uratowanie życia – rzekł Dymitr ze zmarszczonymi brwiami. – Mów sobie, co chcesz, o naszym spotkaniu, ale nie posuwaj się dalej, bo może osiągnąć cię mój gniew. Bo ja jestem Dymitr Iwanowicz, kość z kości Rurykowiczów ruskich, a w moich żyłach płynie krew samego Ruryka i Monomacha, Aleksandra Newskiego i Iwana Kality. Bo kiedy Jezus Chrystus w dobroci swej i miłości do człowieka ześle pokój swemu słudze, rozkaże moim wrogom zaniechać walki, gdy sprawi, by stali się łagodni jak owieczki, i zetrze ich na proch, który rozniesie wiatr, ja zasiądę na tronie mych przodków w Czapce Monomacha. I wtedy jedno moje słowo sprawi, że ujrzysz piekło, a Pan moją ręką rozgniecie cię jak nikczemnego robaka!

Gadał zdrów! Na razie to Dydyński nie poświęcił Dymitrowi uwagi większej niż najdorodniejszej pluskwie wyciągniętej ze ściany.

– W co ty się wpakowałeś, mości panie Adamie? – rzucił do Dworyckiego. – Co tu się w ogóle dzieje? Co to za komedia? Komu służysz? Szaleńcowi, co się podaje za syna moskiewskiego cara? I gotów jest wywołać wojnę? Był już na Ukrainie taki, co się zwał Bajdą z rodu Wiśniowieckich, starosta kaniowski. On zamierował sobie zostać hospodarem wołoskim i na Stambuł poszedł w tysiąc koni. A wiesz, jak skończył? Na haku. Tak samo wy razem z tym durnym carzykiem na palach ostatniego

tchu dobędziecie. Ku wielkiemu ukontentowaniu cara Borysa Godunowa, moskiewskiego kata!

– Po tym, co ty uczyniłeś w Inflantach dwa lata temu, nie mam gdzie zdobywać zasług – odparł głucho Dworycki. – Chyba nie zapomniałeś o tej gardłowej sprawie? – dorzucił zjadliwie.

– A ty nie uważasz, że dzięki mnie w ogóle żyjesz?

– Żyję i coś znaczę wyłącznie dzięki Jego Carskiej Mości. A ty... Myślisz jeszcze o niej?

Dydyński milczał.

– Życzyłbym sobie, abyś dumał o niej bezustannie. Chodząc, robiąc, śpiąc, w łaźni, w kościele, u dziewczki, w karczmie i przy pacierzu!

Dydyński zapatrzył się w zmęczone oblicze Dworyckiego, w gębę ozdobioną głębokimi bruzdami ciągnącymi się od krańców warg przez oba policzki.

– Abyś wciąż widział, we śnie i na jawie, jak modli się zamknięta w celi. Sypia w trumnie. Pogrzebana żywcem, tak jak wasze szczęście. Niech cię te myśli gryzą jak wilki, kąsają jak wściekłe szczury. Niech nie dają ci zapomnienia...

– Wart jesteś w łeb, panie Dworycki – warknął Dydyński. – Jedź swoją drogą i nie pokazuj mi się na oczy. Bo zapomnę, że kiedyś byłeś mi druhem i najmilszym kompanem.

– Wedle woli waszej mości.

Dydyński patrzył, jak Dworycki dołączył do Dymitra, a potem ruszył na czele kozaków, roztopił się w mroku wraz z czarnymi semenami przypominającymi okryty kirem kondukt żałobny.



swiatksiazki.pl

Kup w świecie książki